

felietony

# TRÓJGŁOS



Andrzej **SMOLEŃ**



Natalia **SOBIECKA**



Róża **WIGELAND**

# TRÓJGŁOS

felietony



# **TRÓJGŁOS**

felietony

**Róża Wigeland  
Andrzej Smoleń  
Natalia Sobiecka**

# SPIS TREŚCI

---

<b>OD AUTORÓW</b> .....	11
<b>O EMIGRACJI</b> .....	14
<b>Emigracja</b> .....	16
Na początku było ciężko – Róża Wigeland .....	17
I, emigrant – Andrzej Smoleń .....	23
Nie wróćę do kraju – Natalia Sobiecka .....	30
<b>Co było, a nie jest</b> .....	34
Przedtem i potem – Róża Wigeland .....	35
Zarządzanie stresem – Andrzej Smoleń .....	38
O (nie)zbieraniu grzybów – Natalia Sobiecka .....	42
<b>Życiorysy artystów polskich na emigracji</b> .....	48
Pomiędzy sztuką i codziennością – Róża Wigeland .....	49
Kosmopolak – Andrzej Smoleń .....	54
Marta Damasceno – Natalia Sobiecka .....	60
<b>NA POWAŻNIE</b> .....	66
<b>Edukacja</b> .....	68
Nie chciałabym uczyć się w polskiej szkole – Róża Wigeland .....	69
Idiokracja – Andrzej Smoleń .....	75
Po irlandzku o reformie polskiej edukacji – Natalia Sobiecka .....	85

**Copyright** © Róża Wigeland, Andrzej Smoleń,  
Natalia Sobiecka 2026

**Redakcja i korekta:** Ada Johnson

**Skład i łamanie:** Natalia Sobiecka

**Projekt okładki i grafika:** Mirosław Ogorzałek

**Wydawca:** Roza Wigeland Creative

Wydanie pierwsze, Scarborough 2026

**ISBN:** 978-1-7399389-9-4

Niniejszy utwór ani żaden jego fragment nie może być reprodukowany, przetwarzany i rozpowszechniany w jakikolwiek sposób za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych oraz nie może być przechowywany w żadnym systemie informatycznym bez uprzedniej pisemnej zgody Wydawcy.

Książka jest dostępna na [www.rozawigeland.com](http://www.rozawigeland.com).

<b>Ekologia</b> .....	90	<b>Życie domu</b> .....	195
Zaśmiecanie świata – Róża Wigeland.....	91	Dom to żywy organizm – Róża Wigeland.....	196
Nowa antropologia – Andrzej Smoleń.....	97	Życie w czasach chaosu – Andrzej Smoleń.....	203
Deposit Return Scheme, czyli co Irlandia robi dla Ziemi – Natalia Sobiecka .....	102	Jak to działa – Natalia Sobiecka .....	211
<b>II wojna światowa</b> .....	106	<b>Czym jest luksus</b> .....	216
Kobiety na wojnie – Róża Wigeland .....	107	Brudny świat luksusu – Róża Wigeland .....	217
Skutki wojny – Andrzej Smoleń.....	117	Czym był luksus – Andrzej Smoleń.....	224
Czy neutralność to obojętność? – Natalia Sobiecka .....	123	Luksus nieoczywisty – Natalia Sobiecka.....	232
<b>Czym jest dorosłość</b> .....	128	<b>PO POLSKU</b> .....	234
Kiedy zaczyna się dorosłość? – Róża Wigeland.....	129	<b>Polska sztuka</b> .....	236
Rady – Andrzej Smoleń.....	134	Współczesna sztuka polska – Róża Wigeland.....	237
Co to znaczy być dorosłym? – Natalia Sobiecka.....	142	Sztuka narodowa – Andrzej Smoleń.....	241
<b>Żałoba to nie depresja</b> .....	145	Gdańsk: bursztyn, pomniki i galaktyki – Natalia Sobiecka.....	247
Cierpienie to nie przywilej – Róża Wigeland.....	146	<b>Kuchnia polska</b> .....	253
W poszukiwaniu sensu – Andrzej Smoleń.....	149	Młoda Polska w kuchni – Róża Wigeland.....	254
Ogarnij się! – Natalia Sobiecka .....	156	Wędzone, kiszzone – Andrzej Smoleń.....	259
<b>NA LUZIE</b> .....	162	Polski stół na irlandzkiej ziemi – Natalia Sobiecka .....	263
<b>Ulubiony film</b> .....	164	<b>W RYTMIE KALENDARZA</b> .....	266
Film należy czytać – Róża Wigeland.....	165	<b>Majówka</b> .....	268
Dawno temu... – Andrzej Smoleń.....	171	Maj to poezja świata – Róża Wigeland.....	269
(Nie)idziemy do kina – Natalia Sobiecka .....	176	Majówkowe grillowanie – Andrzej Smoleń.....	275
<b>Klient nasz pan</b> .....	179	Tradycja, grill, biel i czerwień – Natalia Sobiecka .....	280
Klient nasz partner – Róża Wigeland.....	180	<b>Szaro, buro i ponuro</b> .....	284
Panie! Kto to panu tak spier... – Andrzej Smoleń .....	186	Listopad to nie wyrok – Róża Wigeland.....	285
Klient to nie mój pan – Natalia Sobiecka.....	193	Listopad – Andrzej Smoleń.....	289
		Ni pies, ni wydra – Natalia Sobiecka .....	292

<b>Podsumowanie roku</b> .....	294
Już nie chcę – Róża Wigeland .....	295
Migawki z 2024 – Andrzej Smoleń.....	299
Coś się kończy, coś zaczyna – Natalia Sobiecka.....	306
<b>WSPÓŁCZESNOŚĆ</b> .....	310
<b>Mity tego świata</b> .....	312
Prawdy, które okazały się nieprawdą – Róża Wigeland.....	313
Modele ludzkiej głupoty – Andrzej Smoleń.....	317
Powinnaś być chłopcem – Natalia Sobiecka .....	324
<b>Życie instant</b> .....	328
Era natychmiastowości – Róża Wigeland.....	329
Rozwiązania błyskawiczne – Andrzej Smoleń .....	335
Życie turbo: byle jak, byle szybciej – Natalia Sobiecka .....	339
<b>Współczesny efekt motyla</b> .....	344
Jak drobiazgi zmieniają nasze życie – Róża Wigeland.....	345
Czarny labędź – Andrzej Smoleń .....	348
Punkt zwrotny – Natalia Sobiecka .....	355
<b>Cena sukcesu</b> .....	357
Sukces jest jak moneta – ma orla i reszkę – Róża Wigeland.....	358
Biografie – Andrzej Smoleń .....	363
Ich głód jest inny – Natalia Sobiecka .....	368

## OD AUTORÓW

---

Podczas jednej z redakcyjnych narad w ramach tworzenia portalu publicystyczno-kulturalnego Emigraniada.com, wśród rozmów o literaturze, kulturze i codziennych sprawach, padło z pozoru niewinne hasło: „A gdyby tak od czasu do czasu każde z nas napisało felieton, na jeden z góry ustalony temat, ale bez jakiegokolwiek sugestii, jak dany temat potraktuje?”. Pomysł pojawił się spontanicznie, ale natychmiast wzbudził entuzjazm całego zespołu. Bo przecież ilu ludzi, tyle opinii! A dyskusja, nawet ta prowadzona piórem, zawsze rodzi coś ciekawego.

Tak zaczęła się nasza niemal dwuletnia przygoda z felietonem – swoista bitwa na słowa, w której nie było zwycięzców ani przegranych, ale zawsze był dialog. Trójka autorów – różniących się niemal wszystkim: wiekiem, doświadczeniem, miejscem zamieszkania, zawodem i sposobem patrzenia na świat – podjęła wyzwanie, by w trzech tekstach mierzyć się z jednym tematem. Postawiliśmy sobie jeden warunek: każde z nas traktuje temat po swojemu i nie konsultujemy się w żadnej kwestii.

Powstało w ten sposób 21 zestawów felietonów, czyli 63 teksty. Trzy glosy, trzy wrażliwości, jeden punkt wyjścia. Głosy czasem zgodne, częściej polemiczne. Niekiedy żartobliwe. Innym razem pełne gorczy, nostalgii, buntu, irytacji, złości na zastaną rzeczywistość. Jednak zawsze szczere, zawsze wynikające z potrzeby zrozumienia świata, który czasem zmieniał się szybciej, niż zdążyliśmy o nim napisać.

Czasami bardzo trudno było wywiązać się z obowiązku comiesięcznego dostarczenia tekstu na czas. Po drodze mierzyliśmy się z chorobami, przeprowadzkami, dodatkowymi wyzwaniem zawodowymi, problemami rodzinnymi, a także trudnościami wynikającymi z życia w obcych krajach. W tym czasie dotknęły nas także inne – bardzo trudne, a czasami wręcz traumatyczne – momenty w życiu. A jednak, mimo wszystko, zawsze wywiązywaliśmy się z podjętego zadania. Bo właśnie w tym kryło się sedno naszego pisania i współpracy: wierność danemu sobie nawzajem słowu – nawet wtedy, gdy rzeczywistość robiła wszystko, by nam w tym przeszkodzić.

W tej wspólnej pracy było też coś jeszcze – radość tworzenia razem. Z czasem samo pisanie przestało nam wystarczać. Zaczęliśmy więc nagrywać podcasty, w których rozmawiamy o naszych felietonach. O różnicach w odbiorze tematów i o tym, co między wierszami nie zostało wypowiedziane. Często opowiadaliśmy sobie o punktach zapalnych lub bolączkach noszonych długo w sobie, ponieważ wcześniej nam się zdawało, że nie było nikogo, kto by nas zrozumiał. Mieliśmy okazję powiedzieć o tym głośno i usłyszeć, jak to rezonuje z pozostałymi autorami. Potrzebowaliśmy tej rozmowy – dopowiedzenia kilku kwestii, zadania pytań, czasem nawet obrony własnych racji. Tak oto, w sposób zupełnie naturalny, nasz projekt literacki zaczął zamieniać się w spotkania bardziej osobiste i coraz bardziej... nasze. Z biegiem czasu poznawaliśmy się coraz lepiej, nie tylko jako autorzy, ale też jako ludzie. Uczyliśmy się siebie nawzajem: swoich reakcji, stylów, emocji, przyzwyczajzeń. Zrodziła się z tego prawdziwa przyjaźń; taka, która powstaje tylko wtedy, gdy ludzie potrafią się między sobą różnić, a mimo to chcą wspólnie budować coś trwałego. Tak też się jakoś ułożyło, że na nagrania i rozmowy przeznaczaliśmy niedzielne przedpołudnia. Stały się one naszym małym rytuałem, momentem wyciszenia, śmiechu, czasem głębokich rozmów, żartów lub klucia się ironią. Były jak filiżanka dobrej kawy, wypitej

w towarzystwie ludzi, których słucha się z przyjemnością. Nie chcieliśmy tworzyć manifestu ani stawiać kropki nad „i”. Każde z nas patrzyło z innej perspektywy: z innego miejsca, innej codzienności, innego punktu na mapie życia. I właśnie to stało się siłą tych tekstów – nasza trójka i potrójna różnorodność myślenia.

Ta książka jest więc nie tylko zbiorem felietonów. To nasz ślad na ścieżce polskiej emigracyjnej twórczości. Ślad ludzi, którzy w słowach szukają sensu, a w różnicy zdań widzą nie przepaść, lecz przestrzeń porozumienia. W tym tkwi największa wartość zapisanego słowa – potrafi przezwyciężyć zmęczenie i szalony bieg naszej codzienności, pokonać z wątpienie, zniechęcenie i odległość. Ta książka jest dowodem, że pasja, uczciwość i ciekawość świata mogą połączyć ludzi bardziej niż wspólne miejsce na mapie. I że dopóki mamy o czym pisać, dopóty mamy siłę, by żyć uważnie.

# O EMIGRACJI



## Emigracja

Emigracja to jedno z tych doświadczeń, które potrafią zmienić człowieka na zawsze. To nie tylko przeprowadzka z punktu A do punktu B. To przejście między światami.

Przyjrzyjmy się emigracji z różnych perspektyw: kulturowej, społecznej, emocjonalnej. Bo emigracja to nie tylko geografia. To stan ducha, który kształtuje ludzi, ich twórczość, spojrzenie na świat i samych siebie.

RÓŻA WIGELAND

## NA POCZĄTKU BYŁO CIĘŻKO

---

4 października 2013 roku siedziałam na lotnisku w Gdańsku, trzymając w rękę paszport i bilet w jedną stronę. Wyjeżdżałam na zawsze. Byłam o tym głęboko przekonana w czasie czterech dni ostatecznego segregowania, pakowania i przewożenia rzeczy, z których zostały mi dwie walizki. Walizki oznaczały nieodwracalność sytuacji. Przeszłości już nie było. Zostało mi budowanie od nowa. Resztką sił.

Decyzję o emigracji podjęłam półtora roku wcześniej w piękny letni dzień, siedząc na ławce na nadwiślańskim brzegu toruńskiej starówki. Szukałam wyjścia z sytuacji. Myślałam: „Jeżeli to, co robię, nie przynosi oczekiwanego rezultatu, to znaczy, że jestem nieskuteczna. Jeżeli od kilkunastu miesięcy szukam pracy, która pozwoliłaby mi się utrzymać, i jej nie mam, to znaczy, że robię coś źle lub moje umiejętności są niewystarczające”. Po chwili uświadomiłam sobie, że robiłam wszystko według wskazówek doradców, a moje umiejętności w branży były ponadprzeciętne. Nie spełniałam trzech kryteriów z ogłoszeń o pracę: nie miałam statusu rencistki lub emerytki, nie byłam studentką, a moja data urodzenia wywoływała na twarzach dwudziestoletnich rekrutek pobłażliwy uśmiech i słowa: „na zmywak nie potrzebujemy”. Byłam ponad czterdziestoletnią, pełnosprawną, zdrową kobietą, gotową uczciwie i ciężko pracować, ale moja branża wyrzuciła mnie na margines. I kiedy tak dywagowałam, co jeszcze mogłabym uczynić, by osiągnąć swój cel, przyszło mi do głowy, że muszę zrobić coś zupełnie innego niż do tej pory.

Może wyjechać do innego miasta? Ale co niby ma się zmienić w innym mieście? Będzie to samo prawo, to samo nastawienie ludzi i ta sama branża, tylko miejsce się zmieni. Powinnam dokonać takiej transformacji, po której będę funkcjonowała w granicach innego prawa i innej mentalności ludzi, a nie tylko miejsca. I wtedy pomyślałam po raz pierwszy, że tak może być tylko poza krajem mojego urodzenia. Przestraszyłam się tej myśli. Nie wyobrażałam sobie życia i funkcjonowania w jakimkolwiek społeczeństwie poza Polską. Dopiero po dwóch tygodniach odważyłam się wypowiedzieć tę myśl na głos. Klamka zapadła. Pozostały już tylko przygotowania.

To był bardzo trudny czas. Już nie w Polsce, ale jeszcze nie w miejscu docelowym. Likwidowanie życia trwającego czterdzieści sześć lat. Wyrwanie korzeni, żegnanie się z ludźmi i miejscami. Nie myślałam, że jak mi nie wyjdzie, to wrócę. Zrobiłam wszystko, by nie mieć dokąd wrócić. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że mi się nie uda. Musiało się udać. Bo jak nie, to... nie było nic. Czarna dziura. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak będzie lub co będzie. Wiedziałam tylko, że muszę codziennie wstać i zrobić wszystko, by odbudować swoje życie. A potem je polepszać. Bo przecież dlatego zdecydowałam się na taki krok. By żyć, a nie ciągle o wszystko walczyć, chociaż nie było wojny. By żyć, a nie wegetować w niedostatku i biedzie. By żyć, a nie wstydzić się, że jestem po czterdziestce, jestem zdrowa i chcę pracować w kraju, który takich ludzi jak ja wyrzucił na margines życia społecznego. Najczęściej słyszałam słowo „nieudacznik”, bo nie potrafiłam sobie „załatwić” orzeczenia o niepełnosprawności ani „wyciągnąć pieniędzy z Unii”.

Czy się bałam? Nie. Ja byłam przerażona! I co roku, kiedy zbliża się czwarty październik, to wspomnienie do mnie wraca. Wszyscy, z którymi rozmawiałam przed wyjazdem, mówili, że na początku będzie ciężko. I ja na to „ciężko” byłam przygotowana. Ale gdybym wtedy wiedziała, albo chociaż przypuszczała, jak to będzie wyglądało, to nigdy bym się na ten krok nie zdecydowała. Uratowała mnie ta niewiedza.

Bo jednak codziennie trzeba było wstać i zrobić wszystko, by odbudować swoje życie na szczątkach zapakowanych do dwóch walizek. Nie było powrotu. Skutecznie zatrzęsłam drzwi z tabliczką „Polska”. Jedyne, czego żałowałam, to tego, że nie zrobiłam tego kroku wcześniej, dużo wcześniej.

Odnalezienie się w nowej rzeczywistości wśród ludzi z inną mentalnością, poznanie nowego prawa i zasad rządzących w innym społeczeństwie jest bardzo, bardzo trudne. Przynajmniej dla mnie takie było. Niby umiałam chodzić, czytać, pisać i ogarniać własną dorosłą egzystencję, ale i tak musiałam się tego uczyć od nowa. Pamiętam doskonale kilka momentów, kiedy miałam ochotę rzucić w diabły całą tę emigrację. Gdy byłam bliska płaczu, bo nie mogłam znaleźć w sklepie soli, która okazała się zapakowana nie w foliowy woreczek, ale w plastikową butelkę. Gdy syn szarpnięciem za ramię udaremnił moje wejście pod koła samochodu, bo najpierw spojrzalam nie w tę stronę, co trzeba. Gdy dopominałam się od zdumionego menadżera potwierdzenia urlopu na piśmie. Gdy wzrokiem szukałam oznaczeń przystanków i długą chwilę zastanawiałam się, z którego odjeżdża autobus tam, dokąd chcę dojechać. Gdy nie mogłam zrozumieć, co do mnie mówią, ale jakimś szóstym zmysłem domyślałam się, co mam zrobić, bo znałam doskonale obowiązki i zasady w swojej branży.

Dziś wiem, że wymagałam od siebie za dużo. Oczekiwałam więcej, niż wymagali moi menadżerowie. Naczytałam się tekstów i nasłuchiwałam wiadomości o tym, jak inni sobie poradzili w dwa tygodnie czy nauczyli się języka w miesiąc. A ja dopiero po ośmiu miesiącach złapałam pierwszy głębszy oddech, a po roku poczułam, że moja emigracja się dokonała: zapuściłam korzenie, miałam stałą pracę, samodzielne mieszkanie, byłam w stanie się utrzymać. Ba! Praca i pieniądze, czyli to, czego szukałam, okazały się najmniejszymi z moich problemów, a właściwie żadnymi, bo przestałam mieć jakiekolwiek problemy. Otaczali mnie uprzejmi ludzie, pieniądze za pracę rozwiązały wszystko, a życie w przyjaznym społeczeństwie sprawiło, że zaczęłam się uśmiechać i z ufnością patrzeć w przyszłość.

Kiedy przypominam sobie siebie z tamtego okresu, to jakbym oglądała film o kimś innym. Sama nie wierzę, że to wszystko przeżyłam. Że to ja się tego wszystkiego nauczyłam. Że poznałam tylu ciekawych ludzi. Że tyle osiągnęłam w tak krótkim czasie. Wiem już, że człowiek nie zna swoich możliwości, dopóki nie stanie oko w oko z przeciwnościami. Tylko wtedy jest w stanie się dowiedzieć, czy da radę przetrwać, zaważać o sobie, czy będzie umiał poznać i przyswoić inny świat. Inną kulturę, inną mimikę, inną historię i wynikającą stąd mentalność.

Za sprawą emigracji moja przestrzeń do życia bardzo się poszerzyła. Polką mogę być, ale nie muszę. Mam o wiele więcej możliwości czerpania z wszelakich dóbr. Poczucie bezpieczeństwa wpłynęło bardzo korzystnie na pracę mózgu. Funkcjonuję w bezpiecznym środowisku, mam szansę rozwinąć swój potencjał, rozkwitnąć. Przedtem funkcjonowałam cały czas w trybie zagrożenia, działałam tylko w takim zakresie, żeby przetrwać. Teraz, po latach, wszystkim tym ludziom, którzy mówili, że pieniądze nie są w życiu ważne, że istotniejsze jest „być, a nie mieć”, mogę jedynie powiedzieć: w takim razie nigdy nie byliście biedni. Środki finansowe dają o wiele więcej kierunków do rozwoju i poprawiania swojej jakości życia. I pomimo tego, że moja rodzima mentalność czasem ze mnie wychodzi i w rubryce „narodowość” zawsze będę wpisywała „polska”, to już wiem, że ojczyzna nie jest mi potrzebna do życia.

W 2021 roku dopełniłam obowiązku i dałam się policzyć, poddałam się spisowi brytyjskiemu. Jedno z pytań wywołało refleksję. Zapytano mnie: kim się czuję? Odpowiedziałam, że Brytyjką, bo tutaj żyję, pracuję, płacę podatki, głosuję w brytyjskich wyborach, czytam angielskie wiadomości i słucham angielskiego radia. Ale myślę po polsku, zdarza mi się działać po polsku, czego sama w sobie nienawidzę – z naleciałościami, mentalnością i tą nieustającą podejrzliwością, gdy coś jest łatwe i mile w obsłudze, że jednak jest jakiś haczyk i zaraz ktoś mnie oszuka lub z czegoś okradnie.

Po polsku obchodzę w domu niektóre święta, zdarza mi się gotować polskie obiady i czytam polskie książki. Jednak wolę kuchnię włoską. Bardziej lubię jej sposób przyrządzania, smak, zapach, wykorzystywanie produktów. To włoskimi krajobrazami bardziej się upajam, melodia języka bardziej wpada mi w ucho i to we włoskim miasteczku wołałabym żyć, gdyby ktoś kiedyś postawił przede mną taki wybór. Gdy ktoś w Anglii próbuje zgadnąć, jakiej jestem narodowości, w dziewięciu przypadkach na dziesięć jestem brana za Francuzkę. Moje korzenie to polsko-ukraińsko-serbsko-rosyjscy przodkowie. Wojny nieźle namieszały w mojej rodzinie. W opisie „O mnie” na stronie internetowej podałam: obywatelka Europy. Brzmi ładnie, nawet dumnie. W rzeczywistości jest to męczące. Kiedyś, w dzieciństwie, chciałam być częścią świata, ale tego pozytywnego, dobrego i spokojnego. Dzięki własnej pracy stworzyć sobie mały raj. Dziś wiem, że raj na ziemi nie istnieje.

Po przeprowadzce do pięknego nadmorskiego miasteczka szukałam nowej pracy. Kiedy wchodziłam do restauracji, by zasięgnąć informacji, zauważyłam u siebie dziwne objawy. Trzęsły mi się ręce, właściwie cała drżałam, uginały mi się kolana, bardzo się pocilałam, głos zanikał. Na płaszczyźnie racjonalnej to było absurdalne, bo nie miałam żadnych powodów do obaw. Ale powtarzało się na tyle często i było tak uciążliwe, że postanowiłam się dowiedzieć, co mi jest. Po jakimś czasie zdiagnozowano u mnie PTSD – zespół stresu pourazowego. Uaktywnia się w momencie zmiany miejsca pracy. To pozostałość po trudnym okresie, kiedy to jeszcze w Polsce przez kilkanaście miesięcy pukałam do drzwi, które wciąż przede mną zatrzaśkiwano.

Jakiś czas temu udzielałam wywiadu dziennikarzowi w Londynie. Opowiadałam na temat swojej twórczości i napisanych książek. W końcu dotarliśmy do typowych pytań o pobyt poza krajem.

– Jak często latasz do Polski? – zapytał dziennikarz. – Odwiedzasz rodzinę i przyjaciół?

- Nie, prawie nie bywam.
  - Dlaczego? Przecież to twoja ojczyzna. Nie tęsknisz?
  - Nie. Tęsknota w moim przypadku byłaby objawem syndromu sztokholmskiego.
  - Kim się zatem czujesz w obcym kraju? Imigrantką czy może ekspatką?
  - Uchodźczynią.
- Powyższy fragment wywiadu nie ujrzał światła dziennego aż do teraz.

ANDRZEJ SMOLEŃ

## I, EMIGRANT

---

„Nie ma nikogo, kto byłby bardziej wtopiony w tłum niż emigrant” – przyszło mi na myśl podczas targów w Birmingham przed kilkoma laty. Dzień rozpoczął się z charakterystycznym dla takich wydarzeń lekkim napięciem. Charakterystyczny był też obraz przeważającej większości uczestników. Panowie w średnim wieku o różnych stopniach siwizny, łysiny i otyłości, w koszulach w pasy, kropki lub geometryczne wzory, z ładnymi zegarkami i wizytówkami na wytłoczonym papierze. Przygotowani do swoich zadań w ciągu dnia, z określonymi wytycznymi i planami. Pojawić się na umówionym spotkaniu. Poszukać dostawcy, klienta lub kontrahenta. Przyjrzeć się nowym technologiom i rozwiązaniom konkurencji. A ponieważ świat jest mały i w wielu branżach ludzie najzwyczajniej się znają, to często taki plan obejmuje również przywitanie się z tym lub owym, zadanie kilku uprzejmych pytań i omówienie plotek. W praktyce dzień pracy na targach obejmować może dziesiątki różnych interakcji, uścisków dłoni, żartów, wymian wizytówek i tak dalej. Najczęściej nie ma tam miejsca na przełomowe decyzje, ale te krótkie spotkania mogą skutkować w przyszłości nowym kontraktem, nową technologią, współpracą lub jeszcze innym, pozytywnym wynikiem.

„A co z emigrantami?” – mógłby ktoś zapytać. Gdzieś tam są, jest ich wcale nie mało, choć na tak opisanej scenie nie pełnią pierwszo- czy drugoplanowych ról, nie są nawet statystami, po prostu kręcą się za kulisami głównych wydarzeń.

Jeden z nich zaparzy i poda kawę, kolejny wskaże miejsce na parking, inny zadba, żeby stoiska stały prosto, a jeszcze inny wymieni w szatni płaszcz na numerek. Bez nich całe wydarzenie nie mogłoby się odbyć, ta praca w tle jest konieczna, by inni mogli się wygodnie rozsiąść, porozmawiać o poważnych sprawach, zaplanować kolejne kroki i uściśnić sobie dłonie z obietnicą rychłego kontaktu. W takim mikroświecie emigrant jest niemal przezroczysty, bo nie szuka się z nim relacji i nie zabiega o jego uwagę. I nie jest to tylko lokalna specyfika. Podobne zależności zaobserwowałem podczas analogicznych wydarzeń również w innych europejskich krajach, w których emigranci stanowią konieczne uzupełnienie ważnego rdzenia. Jest w tym opisie pewna doza uproszczeń, bo w rzeczywistości, jak to w rzeczywistości, należałoby pewne sprawy niuansować. Oczywiście wśród obsługi są i lokalni pracownicy, a wśród podejmujących ważne decyzje trafiają się ludzie urodzeni w różnych częściach świata. W szerszym obrazie jednak można przyjąć założenie, że ten uproszczony schemat nie jest nadmiernie przesadzony.

Taki obraz jest równocześnie metaforą całego społeczeństwa, w którym emigranci są pewną podporą i koniecznym dodatkiem, ale na pewno nie silnikiem i kierownicą całego układu. I tu też oczywiście trafiają się pewne wyjątki, niemniej jednak mam w pamięci przykład z okresu debat nad brexitem. Duża część Polonii poczuła się obiektem jeżeli nie ataków, to co najmniej wytykania palcem. Spotkało się to z odruchami obronnymi, które najczęściej miały mało albo jeszcze mniej sensu. Jednym z pomysłów, który jednak nie doszedł do skutku, był „emigracyjny strajk”. Na grupach i forach kopiowano następujące wezwanie:

Kiedyś w latach 80. w Stanach Zjednoczonych imigranci na jeden dzień nie wyszli do pracy. Stanęły metro i komunikacja, kawiarnie i restauracje były zamknięte. I tak skończyło się obrażanie. Być może teraz czas na nas.

Charakterystyczna jest tu lista miejsc dotkniętych takim hipotetycznym strajkiem – kawiarnie, metro... Pamiętając nadal o wyjątkach, w propozycji strajku nie napisano, że na przykład nie odbędą się operacje z powodu braku polskich chirurgów. Rola emigracji (w tym przypadku polskiej) została bardzo wyraźnie zdefiniowana do obsługi dość podstawowych elementów życia codziennego. I co bardzo ważne – sama Polonia też się tak widzi, a przynajmniej widziała w czasach okolo Brexitowych.

\*  
\*\*

– Przepraszam, czy wasze dziecko też dziś wystąpiło? – zapytał po koncercie Brytyjczyk, którego uwagę najpewniej przykuł używany przez nas język polski.

– Tak.

– My też kiedyś chcieliśmy, żeby córka tu trafiła. Nie udało się...

I zapadła cisza, w której zawisło nieme oczekiwanie na wyjaśnienie – dlaczego i jak? Skoro ten człowiek poznał określone realia, próbując wprowadzić w nie swoje dziecko, doskonale wiedział, z jakimi warunkami i poświęceniem się to wiązało. W tym milczeniu wręcz grzmiało żądanie tłumaczeń. Nie padły.

Charakterystyczne w tej scenie było zwrócenie uwagi na emigrantów tam, gdzie się ich nie spodziewano. Nie przykułbym uwagi, wskazując miejsce na widowni czy nalewając piwo. W tych okolicznościach emigrant jest na swoim miejscu. W innych stanowić może pewne odchylenie od „normy”, które już może zwrócić uwagę. Było to też odchylenie bardzo niewielkie, wręcz niewinne, ale zauważalne. Natomiast w ogólnym obrazie społeczeństwa natarczywe pytania – bo już nie tylko milcząca ciekawość – pojawiłyby się w momencie, gdyby emigracja zaczęła masowo przenikać do brytyjskiej klasy średniej.

Wiele dziedzin życia próbuje się współcześnie usystematyzować i sklasyfikować obiektywnymi danymi. To duża zaleta statystyki, ale jednocześnie jej wada, bo o ile liczby nie kłamią,

o tyle ich interpretacja lub przestawienie może dawać pole do przekłamań w dosłownie każdej dziedzinie życia. Jedną z prób ujęcia rzeczywistości – raczej trudno klasyfikowalnej – w liczby jest ustalenie, w jakim punkcie zaczyna się klasa średnia społeczeństwa. Osobiście bawią mnie podobne listy i mam mocne przekonanie, że najczęściej jest to podejście od d...rugiej strony. Własny obraz klasy średniej opieram na możliwości oddziaływania na rzeczywistość. Nieuchwytna to na pierwszy rzut oka klasyfikacja, ale z pewnością łatwiejsza do wychwycenia na przykładach. A takim może być spotkanie lokalnego polityka z dyrektorem instytucji kulturalnej. To, o czym ci ludzie rozmawiają i jakie decyzje podejmują, często kształtuje otoczenie. A to, gdzie mieszkają, jakimi samochodami jeżdżą i ile mają na koncie, jest wypadkową poprzedniego. W drugą stronę ta zależność wcale nie działa i dorobienie się przyzwoitego majątku nie jest tu wyznacznikiem wejścia w wyższą klasę społeczną. Wracając w tym punkcie do emigracji, nietrudno zauważyć jak niewielu z „naszych” może być w tak zdefiniowanym punkcie. Ma to wiele przyczyn, wśród których można wymienić: dość powszechną niechęć, niezrozumienie nowej kultury, brak czasu i możliwości, a także pewien dystans tutejszych społeczności, które wcale nie witają emigrantów z otwartymi ramionami w swoim towarzystwie. I ma to miejsce nawet na poziomach bardzo lokalnych, bo przecież w odniesieniu do tych poważniejszych gremiów nikt nie pozwoli emigrantowi nawet podejrzeć ich działań przez dziurkę od klucza. Stąd też, w mojej opinii, tak duża liczba polskich organizacji, klubów i przedsięwzięć, które kanalizują potrzeby tych polonusów, którzy chcą wykonywać pracę społeczną. Tworzy to jednak dwa światy z rzadkimi i krótkimi stykami, co jeszcze bardziej potęguje pozycję emigranta, umieszczoną na bardzo dalekich obrzeżach życia społecznego i mocniej podkreśla jego nieoznaczoność w tłumie.

Nie jestem tu oczywiście wyjątkiem, raczej wzorcowym przykładem opisywanych schematów. Powodują one wycie-

ranie się konturów i rozmywanie postaci do wytłumionego, szarego tła. Tak jak wielu innych emigrantów widnieję w tutejszym systemie podatkowym, mam dokumentację medyczną, adres i historię zatrudnienia. Ale... to tyle. Emigracja sprawiła, że orbituję gdzieś na kompletnych obrzeżach niczym kosmiczny pył. I w zasadzie jest to powszechna przypadłość ogromnej większości ludzi, którzy dobrze się odnajdują w takim stanie, najczęściej w miejscu swojego urodzenia. Jest jednak mała różnica w warunkach emigracji, a polega ona na tym, że taki stan rzeczy jest niejako narzucony. Nie jest to wybór, ale konieczność zaakceptowania warunków w innym kraju, w którym jest się gościem, a nie gospodarzem.

\*\*

Charakterystyczną cechą człowieka jest fakt, że nie może sam się ukształtować. To, w jaki sposób się rozwija, uzależnione jest od otoczenia i interakcji z innymi. I jest to prawidłowość zauważalna już na bardzo elementarnym poziomie. Historii znane są przykłady „dzikich dzieci” (dorastających bez kontaktu z ludźmi), które samodzielnie nie nauczyły się nawet chodzić na dwóch nogach. Ten fakt doprowadza niejednokrotnie do rozpaczki piewców wolności absolutnej, którzy ostatecznie muszą przyznać, że dorosły, odpowiedzialny człowiek nie pojawia się nagle znikąd. Każdy, kto ma już prawo i możliwość decydowania o swoim losie, jest już osobą, która przeszła przez proces wychowania i nauki oraz przez lata poruszała się w odpowiednich ramach kulturowych. Te czynniki bardzo często sprawiają, że wielu ludzi przechodzi przez życie z wytyczonymi schematami i regułami. To wbrew pozorom potężne siły, choć często są one banalne w swoich przejawach, takich jak dezaprobujące spojrzenie babci przy rodzinnym stole czy aktualna moda wśród rówieśników. W swoich skutkach owe siły potrafią sprawić, że na modnych przedmieściach długość trawy w przydomowych ogrodach jest identyczna na każdej działce, a wybory życiowe, ścieżka kariery, a nawet marzenia najczęściej mieszczą się w ramach określonych przez bliższe i dalsze otoczenie.

W swojej masie poszczególne historie emigracji zdają się zlewać w jeden schemat, wydają się wręcz bliźniaczo do siebie podobne. O ile w odpowiednio dużej skali takie wrażenie może być uzasadnione, o tyle bliższe spojrzenie na każdy opis oddaje w nim coś unikalnego. Moja osobista emigracja miała w sobie taki punkt wyróżniający, że rzuciła dwoje młodych ludzi na początku ich wspólnego życia w zupełnie nowe miejsce, w związku z czym stracili oni zupełnie kontakt z opisywanymi wcześniej punktami oparcia. Po przeprowadzce do nowego miasta nasza dwójka budowała swoje życie i otoczenie kompletnie od zera, bez żadnych znajomych, o bliskich osobach nawet nie wspominając. W takim otoczeniu, niestawiającym niemal żadnych granic, nawet w postaci uniesionej brwi, powstała szansa na zdefiniowanie się na nowo. A przynajmniej na przyjrzenie się samemu sobie. Bo w sytuacji, gdy każda decyzja jest tylko sprawą własnego widzimisię, w każdym choć odrobinę myślącym człowieku pojawić się muszą pytania. Dlaczego wolny czas spędzać tak, a nie inaczej? Dlaczego używać takiego, a nie innego języka? Jakich rozrywek szukać? Wśród jakiego kręgu ludzi budować nowe grono znajomych? Są to pytania banalne, natomiast same odpowiedzi wcale takie być nie muszą. Szczere poszukanie w sobie motywacji czy wręcz sensu to zadanie bardzo otwierające na wiedzę o samym sobie. W innych okolicznościach być może bez szans na realizację, bo w ustalonych z góry ramach odpowiedzi pojawiają się same. Przez emigrację jednak tych odpowiedzi musiałem poszukać samodzielnie i proces ten przeszedłem w części nieświadomie, odtwarzając go później z retrospekcji, a w części zupełnie intencjonalnie, podejmując decyzje w wyniku dyskusji z samym sobą. Dało mi to dużo i pozwoliło na tyle poznać samego siebie, że wręcz mogę powiedzieć: wiem, kim jestem. A przynajmniej wiem, skąd wypływają moje życiowe decyzje i gdzie sam postawiłem sobie granicę, co postrzegam jako elementy człowieczeństwa i tak dalej. Można rzec, że emigracja pozwoliła mi przyjrzeć się samemu sobie i nanieść na

swoją sylwetkę kontury. Możliwość zdefiniowania „ja” (taki, siaki i owaki) to duży dar i życzę takiej możliwości każdemu młodemu człowiekowi.

I tutaj następuje wielki paradoks. Emigracja, jak napisałem początkowo, rozmywa „ja” do szarego tła, sprowadza człowieka do trybiku w mechanizmie, który jest ukryty za wystawną tarczą. Jednocześnie ta sama emigracja to „ja” pozwala odkryć. Czytałem swego czasu teorię, że do odkrycia polskości w masach chłopskich przyczynili się w wielkiej mierze ci zaborcy, którzy właśnie polskość próbowali rugować. Dziecko szło do ruskiej czy pruskiej szkoły i – wcześniej nie zastanawiając się nad podobnymi sprawami – słyszało, że jego język jest zły, jego wiara zła i jego naród też zły. „No to kim jesteś?” – zapytało się wtedy wielu młodych Polaków. Pewnie na emigracji wykształcił się podobny mechanizm – można przyjrzeć się sobie na tle innego społeczeństwa i zadać pytania zwykle niezadawane.

A więc dała i zabrała? Tak. Ale w jakich proporcjach?

## NIE WRÓCĘ DO KRAJU

---

Bardzo trudno było mi zacząć pisanie o emigracji, ponieważ jest to temat bardzo złożony. Zastanawiałam się: o którym aspekcie życia na obczyźnie napisać? Czy o motywach, które popchnęły mnie do wyjazdu? Mogłam też o czynnikach, które nie były w stanie zatrzymać mnie w kraju. Czy o tym, jak jest mi tu dobrze? A może o tym, jak jest mi tu źle? O ludziach? Zdarzeniach? Pisać o sukcesach czy skupić się na porażkach? Tak wiele pytań, a odpowiedzi brak... Dlatego odłożyłam pisanie na później, bo wiedziałam, że jeśli napiszę coś pod przymusem, tekst będzie do niczego. Długo jednak na inspirację czekać nie musiałam.

W Rzymie odbywały się właśnie Mistrzostwa Europy w Lekkoatletyce. Oglądając zawody w niedzielny wieczór, powiedziałam do mojej partnerki, że mamy fajnie, bo oczywiście kibicujemy Polakom, ale także Irlandczykom, przez co mamy dwukrotnie większe szanse na radość ze zwycięstwa. Odezwałam się w dobrym momencie, bo tego samego wieczoru Irlandka, Ciara Mageean, wywalczyła złoty medal w biegu na 1500 metrów, natomiast nieco później Ewa Swoboda zajęła drugie miejsce w sprincie na 100 metrów. Mówiłam, że podwójna radość?

Jeszcze większe emocje przyniósł kolejny występ sportsmenek, tym razem w biegu na 400 metrów. Na ostatniej prostej plasującą się na pierwszej pozycji Irlandkę Rhasidat Adeleke wyprzedziła Polka, Natalia Kaczmarek. Nasza rodaczka zajęła pierwsze miejsce w zawodach i ustanowiła, po

raz pierwszy od pięćdziesięciu lat, nowy rekord Polski w tej dyscyplinie. Radość podwójna, bo miałyśmy dwa medale: polskie złoto i irlandzkie srebro.

Nie sądziłam, że coś może zmącić radość i spokój. Sportowa rywalizacja w duchu fair play to czysta przyjemność dla kibica, a także satysfakcja dla zawodników, chociaż oczywiście okupiona niewyobrażalną pracą i wielkim wysiłkiem. Ale zawodowcy wiedzą, co robią i po co to robią. Myślałam, że tutaj nie można się przyczepić do niczego, nie można zepsuć tego pięknego wydarzenia, jakim dla sportowców są mistrzostwa: czas sprawdzenia siebie, osiągnięcia sukcesów i pokonywania własnych słabości, codziennie od nowa. A jednak...

Po tym, co przeczytałam w komentarzach pod informacją o wyścigu na 400 metrów kobiet, a dokładniej na temat Rhasidat Adeleke, już wiem, dlaczego nie chcę wracać do Polski.

Irlandzka zawodniczka, która w trakcie zawodów miała dwadzieścia dwa lata, urodziła się i mieszka w Dublinie. Wszyscy, ale to wszyscy Irlandczycy, bez wyjątku, pisali o dumie, jaką przyniosła im swoim występem i zdobytym srebrem. Mówili, że Rhasidat jest wspaniała, cudowna i piękna. Biorąc zaś pod uwagę pracowitość sprinterki, przewidywano, że wielka kariera jest jeszcze przed nią, a złoty krążek pozostaje w jej zasięgu. Raczej prawidłowa reakcja, prawda?

Też mi się tak wydawało. Znalazłam się jednak nieopatrznie na polskiej stronie informacyjnej. Wśród komentujących oczywiście stado neandertalskich samców alfa, którzy swoją męskość musieli udowodnić gburскими komentarzami. Po ich przeczytaniu w mojej głowie pojawiał się gorylowaty śmiech, który towarzyszyłby tym wypowiedziom, gdyby były one wygłaszane w mowie, a nie w piśmie. Bo nie napisałam Wam, że rodzice Rhasidat pochodzą z Nigerii i tym samym są osobami ciemnoskórymi, a tę cechę, co jest oczywiste, odziedziczyła ich córka. Przytoczę tu kilka komentarzy polskich białoskórych samców o małym rozumku:

„A w której części Irlandii rodzą się ludzie o takim kolorze skóry?”

„W tej Irlandii to musi być afrykańska pogoda, że ona ma taką opaleniznę”,

„To są mistrzostwa Europy czy Afryki?”

Wstyd, tym bardziej że Internet jest ogólnodostępny, a Facebook umożliwia tłumaczenie komentarzy. Wielu Irlandczyków wypunktowało, że Rhasidat jest Irlandką tak samo jak wszystkie polskie dzieci urodzone w Irlandii. Wielu z nich po imieniu nazwało zjawisko, które miało swój wylew w komentarzach: to nie jest żadna nietolerancja czy ksenofobia, ale czysty rasizm. Wielu podkreśliło nie tylko miasto (Dublin), ale i dzielnicę (Tallaght), z których wywodzi się srebrna medalistka, i wszyscy bez wyjątku wyrazili dumę, że mają taką reprezentantkę na mistrzostwach. Jak widać, Irlandczycy są bardzo wyważeni w swoich wypowiedziach i całkiem kulturalni, bo ja zapytałabym w prostych i żołnierskich słowach: „Czy was wszystkich już do reszty po...gięło?!?”

Przypominają mi się wszystkie rasistowskie żarty: o asfalcie, makumbie, kradzieżach i jeszcze gorszych rzeczach. Myślałam, że to już dawno minęło, że to się nie zdarza, a przynajmniej – że jest to jednostkowe. Ale nie jest. Sądząc po komentarzach, w Polsce rasizm ma się doskonale. Zastanawiałam się, w jakim ja oderwaniu żyję, ale to nie oderwanie. To po prostu Irlandia, normalny kraj, w którym jest miejsce dla każdego, jeśli tylko jest się dobrym człowiekiem.

Dodatkowo powiem Wam coś w sekrecie. Mieszkam z osobą pochodzącą z Botswany. I jeśli któraś z nas jest „kolorowa”, to zdecydowanie NIE jest to ona. Ona jest wciąż dokładnie taka, jaka jest, o każdej porze dnia i nocy. To ja, przedstawicielka „białej” rasy, rano mam czerwoną twarz, bo odcisnęła się na moim policzku poduszka. Potem jestem blada jak ściana, bo mi słabo przez głupotę innych. Jak zjem coś, co mi zaszkodzi, to nawet się zrobię zielona, a gdy wylegnę na słońce, staję się brązowa. To może się zastanówmy,

zanim znów nazwiemy kogoś kolorowym, bo z moich naczynych obserwacji wynika, że Chińczycy także mają skórę monotonicznie żółtą, bez względu na wygląd.

Mam nadzieję, że moja emigracyjna przygoda będzie trwała i nie będę zmuszona jej zakończyć, bo nie chcę wracać do kraju, gdzie każda inność jest powodem do żartów i znieważania drugiego człowieka. Do kraju, gdzie gorylowate, prostackie żarty budzą ogólny rechot zamiast zdecydowanego sprzeciwu. Kraju, gdzie wyrażenie własnego zdania, odmienne od ogółu, spotyka się nie tylko z brakiem tolerancji (nie wspominając o akceptacji), ale także brakiem próby zrozumienia i odgórnym przypięciem łatki dziwaka. Kraju, gdzie nie wszyscy mają równe prawa. Choć Polska niczemu, sama w sobie, nie jest winna. Kraj jest piękny, tylko ludzie...

Książka dostępna będzie w sprzedaży  
od dnia 28.03.2026 na stronie  
**<http://rozawigeland.com>**